

TA KSIĄŻKA NALEŻY DO

Wyrazy uznania dla
Sagi rodu Wingfeatherów

„Uwielbiam te wszystkie przygody i szaloną pomysłowość, ale przede wszystkim pasję, którą Andrew włożył w swe książki. Jest poetą i mistrzem opowiadania. Chcę przeczytać wszystko, co napisze”.

– SALLY LLOYD JONES, autorka bestsellerów
„New York Timesa” w kategorii książek dla dzieci

„Tego doświadczenia wasza rodzina nigdy nie zapomni! Polecam te książki z całego serca!”

– SARAH MACKENZIE, autorka *The Read-Aloud Family*,
założycielka i gospodyni podcastów *Read-Aloud Revival*

„*Saga rodu Wingfeatherów* jest dowcipna oraz pełna pasji i wyobraźni. Polecam ją gorąco młodszym nastolatkom, którzy przeczytali już wszystkie części *Narnii* i szukają kolejnej, wspanialej serii”.

– ANNE BOGEL, założycielka bloga *Modern Mrs Darcy*
i gospodyni podcastu *What Should I Read Next?*

„Niesamowicie pomysłowa i cudownie zuchwała epopeja, błyszcząca dowcipem i mądrością – zawiera rewelacyjne porady, jak radzić sobie z pluskaczami, Fangami, a nawet z zębatą krową”.

– ALLAN HEINBERG, twórca i producent
współwykonawczy serialu stacji ABC *Chirurdzy*
i współtwórca komiksu Marvela *Young Avengers*

„Głęboko inteligentna!”

– PHIL VISCHER, twórca *VeggieTales*

DROGA NA PÓŁNOC

ANDREW PETERSON

SAGA RODU

WINGFEATHERÓW

KSIĘGA DRUGA

DROGA NA PÓŁNOC



Wydanie I, Ustroń 2022

Tytuł: NORTH OR BE EATEN

Wszelkie postacie i wydarzenia w tej książce są fikcyjne, a ich podobieństwo do rzeczywistych osób lub wydarzeń – przypadkowe.

Autor: Andrew Peterson

Tłumaczenie: Karolina Siupa

Redakcja: Tomasz Powyszyński

Korekta: Agnieszka Luberadзка, Bartosz Szpojda

Skład i przygotowanie do druku: Sylwia Cupek

Projekt graficzny okładki dostosowała z oryginału: Sylwia Cupek

Druk i oprawa: **do uzupełnienia**

This translation published by arrangement with WaterBrook,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © 2009 Andrew Peterson

Ilustracje w załącznikach Copyright © 2009 by Andrew Peterson

Ilustracje w *Creaturopedii* Copyright © 2020 by Joe Sutphin

Wszelkie pozostałe ilustracje Copyright © 2020 by Joe Sutphin

Rysunek na okładce autorstwa Nicholasa Kole'a

Projekt okładki: Brannon McAllister

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Szaron, 2020

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Szaron, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Ustroń 2020

ISBN 978-83-8247-066-6

Wydawca:

Szaron

Księgarnia | Wydawnictwo | Hurtownia

ul. 3 Maja 49a, 43-450 Ustroń

tel. 503 792 766

wydawnictwo@szaron.pl

zamowienia@szaron.pl

szaron.pl





*Dla Aedana, Ashera i Skye.
Pamiętajcie, kim jesteście.*

Spis treści

- 1 • Samotny złotopiór • 17
- 2 • Pokój numer osiem w Jedynej Gospodzie
(Jedynej gospodzie w Glipwood) • 27
- 3 • Dwa plany • 36
- 4 • Odpowiedni cytat z Ubiniusa Łunego • 44
- 5 • Zdrajca wśród drzew • 48
- 6 • U szczytu wąwozu • 53
- 7 • Potwory w ukryciu • 58
- 8 • Cierń pogardy • 63
- 9 • Skałaluch olbrzymi • 69
- 10 • Rwąca rzeka Blapp • 74
- 11 • Koniec drogi • 81
- 12 • Huk, rozpylona woda i kamienie • 88
- 13 • Most Millera • 95
- 14 • Ostatnia wieża • 101
- 15 • Pieśń o Nuggecie Walecznym • 108
- 16 • Klejnoty i smoki • 113
- 17 • Sprzymierzeniec w Dugtown • 119
- 18 • Stare rany i nowe uzdrowienie • 126
- 19 • Will Wygnaniec i Pierwsze Księgi • 133
- 20 • W sali Fortu Lamendron • 144

- 21 • Koszmar Poda • 147
- 22 • Stranderowie ze wschodniego zakola
rzeki Blapp • 155
- 23 • Growlfist, król Stranderów • 164
- 24 • Szybkie dłonie i jeszcze szybsze stopy • 170
- 25 • Gra w odbijankę we mgle • 178
- 26 • Nadrzeczny Trakt • 187
- 27 • Siniec na plecach ziemi • 193
- 28 • O, Anyaro! • 200
- 29 • TWP w kryjówce Stranderów • 207
- 30 • Ostatnie słowa Sneema • 214
- 31 • W wąskiej uliczce obok Pulchnej Wdówki • 224
- 32 • Odkrycie Ronchy'ego McHigginsa • 232
- 33 • Rozdzielenie • 238
- 34 • Obserwator w mroku • 245
- 35 • Staruchy i łachmaniarze • 250
- 36 • Przedziwna wymiana • 258
- 37 • W paszczy potwora • 264
- 38 • Jasne oczy w ciemnym miejscu • 270
- 39 • Esben Flavogle, narzędzie fabryczne • 276
- 40 • Trumna • 283
- 41 • Cztery jabłka i plan • 291
- 42 • Nikczemny układ • 297
- 43 • Trzy dni w ciemnościach • 302

44	•	Góry i kajdany	•	308
45	•	Przeznaczenie Sary Cobbler	•	316
46	•	Kryjówka Stranderów	•	321
47	•	Zmiana nastawienia	•	327
48	•	Klatki	•	338
49	•	Forteca na wyspach Fubu	•	347
50	•	Nos Czarownicy	•	352
51	•	Pieśń Prastarych Kamieni	•	360
52	•	Nublorożec i złote jezioro	•	367
53	•	Sępolowy	•	379
54	•	Lodowe Prerie	•	386
55	•	Kapitulacja Arthama Wingfeathera	•	391
56	•	Dwa rodzaje wstydu	•	396
57	•	Trzmiele i stare kości	•	403
58	•	Umowa Gammona	•	415
59	•	Transformacja	•	423
60	•	Tajemnice w śniegu	•	428
61	•	Bitwa pod Kimerą	•	438
62	•	Odwieczny gniew	•	445
63	•	Trofeum Hulwen	•	451
64	•	I morze poczerwieniało od krwi	•	457
65	•	Ostatni rejs Poda Helmera	•	466
		Załączniki	•	471
		O Autorze	•	481



Samotny złotopiór

Oczy starego pirata płonęły.

– Zębata krowa! – zawołał gromkim głosem stary pirat i uderzył kijem o pobliskie drzewo. Stał przy pniu jak kapitan statku przy maszcie. – Zębata krowa! Prędko! Do domu na drzewie!

Niedaleko Poda, poprzez zwisający mech przeleciała ze świstem strzała i wbiła się w drewnianą deskę, na której narysowany był węglem wizerunek wyszczerzonego Fanga. Strzała trafiła w paszczę jaszczura, a jej drewniany trzon aż zadrżał od uderzenia. Tink opuścił łuk i zmrużył oczy, by sprawdzić, czy trafił w cel, kompletnie ignorując dziadka.

– ZĘBATA...! U-łaaaa! Niezły strzał, chłopcze... KROWA!

Podo uderzał w drzewo, a Nia wspinała się po sznurkowej drabince do wjazdu w drewny domku Peeta Skarpeciarza. Ubrana w skarpetę dłoń sięgnęła w dół i wciągnęła Nię przez otwór.

– Dziękuję, Artham – powiedziała, wciąż trzymając go za rękę. Spojrzała mu w oczy i uniosła brodę, czekając, aż odpowie.

Peet Skarpeciarz, który naprawdę nazywał się Artham P. Wingfeather, spojrzał na nią i przełknął ślinę, a jedna powieka mu drgnęła. Wyglądał, jakby chciał uciec, jak zawsze, gdy nazywała go po imieniu, lecz Nia nie puściła jego ręki.

– N-n-nie ma za co... *Nia*. – Każde słowo stanowiło dla niego wysiłek, zwłaszcza jej imię, ale Peet wydawał się już mniej szalony niż kiedyś. Zaledwie tydzień wcześniej na dźwięk imienia „Artham” wpadł



w szal – zaczął krzyczeć, zsunął się po sznurkowej drabinie i zniknął w lesie na wiele godzin.

Nia puściła jego rękę i przez właz w podłogę spojrzała w dół na ojca, który wciąż walił w drzewo i wydierał się o nadchodzącym ataku zębatach krów.

– No chodź, Tink! – zawołał Janner.

Kołczan ze strzałami grzechotał mu pod pachą, gdy biegł do Leeli, która siedziała okrakiem na psie, Nuggecie. Ten, który ze względu na swoje rozmiary konia był w lesie równie niebezpieczny, co zębate



krowy, dyszał i merdał ogonem. Tink niechętnie opuścił łuk i ruszył za nim, oglądając się na las w poszukiwaniu zębanych krów. Bracia pomogli przerażonej Leeli zejść z psa i cała trójka pospiesznie rzuciła się na drabinę.

– KROWY, KROWY, KROWY! – wył Podo.

Janner podążył za Tinkiem i Leeli po drabinie. Kiedy wszyscy byli już bezpieczni w środku, Podo wgramolił się przez właz i zatrzasnął kłapę.

– Nieźle – skwitował, widocznie zadowolony z siebie. – Janner, następnym razem pogoń trochę swojego brata i siostrę. Gdyby naprawdę

atakowała nas krowa, to nie zdążyłbyś doprowadzić ich do drabinki, a już te oślizgłe zęby zaczęłyby rozszarpać wasze delikatne ciała...

– Tato, *proszę* – jęknęła Nia.

– ...i odrywać je od kości – ciągnął dziadek. – Jannerze, jeśli Tink jest zbyt uparty, by rzucić to, co robi, to musisz znaleźć jakiś sposób, aby go przekonać, słyszysz?

Janner oblał się rumieńcem i walczył sam ze sobą, by coś odpowiedzieć w obronie. Manewry uciekania przed zębatami krowami były na porządku dziennym od chwili ich przybycia do domku Peeta i dzieci stopniowo przestały się panicznie wydzierać, gdy wrzaski Poda zakłócały zwyczajowy spokój lasu.

Odkąd Janner dowiedział się, że jest Strażnikiem Tronu, próbował poważnie podchodzić do swego obowiązku ochrony króla. Opowieści matki o doskonałej reputacji Peeta jako Strażnika Tronu w Annierze sprawiły, że Janner poczuł dumę z pradownej tradycji, której stał się częścią¹. Problem polegał na tym, że miał otaczać ochroną swego młodszego brata Tinka, który okazał się przyszłym Wielkim Królem. Nie chodziło o to, że Janner był zazdrosny, ponieważ nie miał ochoty niczym rządzić, ale czasem czuł się dziwnie z myślą, że jego chudy, lekkomyślny brat jest nikim innym jak królem, i to legendarnej Świetlistej Wyspy – Anniery.

Janner patrzył przez okno na las, podczas gdy Podo rozwodził się na temat jego obowiązku ochrony brata, licznych niebezpieczeństw lasu Glipwood czy tego, co Janner powinien był zrobić inaczej podczas ostatnich manewrów ucieczki przed krowami.

1 W Annierze dziedzicem tronu jest drugi, a nie pierwszy potomek. Najstarsze dziecko otrzymuje tytuł Strażnika Tronu oraz zaszczyt i obowiązek ochrony króla przed wszelkimi zagrożeniami. Chociaż wywołuje to sporo zamieszania wśród zwykłych dzieci, które pewnego dnia odkrywają, że w rzeczywistości są królewską rodziną żyjącą na wygnaniu (patrz *Nad brzegiem Morza Ciemności*), przez wieki Annierczycy uznawali to za dobry system. Król zawsze miał protektora, a Strażnik Tronu zajmował w królestwie zaszczytne miejsce.

Janner tęsknił za domem. Zaraz po tym, jak uciekli z miasteczka Glipwood i przybyli do zamku Peeta, czuł posmak przygody. Był tak podekscytowany na myśl o długiej podróży do Lodowych Prerii, że nie mógł spać. Gdy wreszcie zasypiał, śniły mu się bezkresne horyzonty śniegu pod jasnymi gwiazdami o tak ostrych krawędziach, że skaleczyłby się, gdyby ich dotknął.

Minęły jednak tygodnie – sam już nie wiedział ile – i jego poczucie przygody zniknęło całkowicie. Brakowało mu rytmu życia w chacie. Tęsknił za gorącymi posiłkami i powolną przemianą krajobrazu wraz ze zmianą pór roku; za rodziną ptaków, która w zagłębieniu nad drzwiami chaty uwiła sobie gniazdo. Rano i wieczorem on, Tink i Leeli oglądali błękitne jaja, potem piskłeta, aż pewnego dnia ujrzeli ze smutnym zdumieniem puste gniazdo i zadawali sobie pytanie, dokąd ptaki odfrunęły. Te dni jednak przeminęły bezpowrotnie niczym lato i czy mu się to podobało, czy nie, chata nie była już jego domem. Drzewny domek Peeta też nie. Nie był pewien, czy w ogóle ma jeszcze dom.

Podo mówił dalej, a Janner znów poczuł w piersi falę gorącej frustracji, gdy mówiono mu to, co już wiedział. Trzymał jednak język na wodzy. Dorośli nie mogli się powstrzymać; Podo i matka wbijali mu do dwunastoletniej głowy lekcje życia tak długo, aż poczuł się głupi i pokonany, i nie było sensu z tym walczyć.

Wyczuł, że tyrada Poda dobiega końca i zmusił się do słuchania.

– ...ten las to niebezpieczne miejsce i wielu ludzi zostało pożartych przez jakieś stworzenia tylko dlatego, że nie byli wystarczająco uważni.

– Tak, sir – odparł Janner z największym szacunkiem, na jaki było go stać. Podo uśmiechnął się do niego i mrugnął, a chłopak wbrew sobie odpowiedział uśmiechem. Przyszło mu do głowy, że dziadek dokładnie wiedział, o czym on myśli.

Podo zwrócił się do Tinka:

– Naprawdę dobry strzał, chłopcze, a rysunek Fanga na tej desce to niezła robota.

– Dzięki, dziadku – odrzekł Tink. Zaburczało mu w żołądku. – O której zjemy śniadanie?

– Posłuchaj no, chłopcze – rzekł Podo. Ściągnął krzaczaste brwi i rzucił Tinkowi groźne spojrzenie. – Kiedy twój brat cię woła, to rzuć wszystko, co robisz, i leć, jakby się paliło. – Tink przełknął ślinę. – Pójdiesz za tym chłopcem na klify i skoczysz do Morza Ciemności, jeśli ci każe. Jesteś Wielkim Królem, co oznacza, że musisz zacząć myśleć o czymś więcej niż tylko o sobie.

Irytacja Jannera przygaśla, podobnie jak kolor twarzy Tinka. Odpowiadało mu, gdy nie popadał w kłopoty sam, lecz czuł się trochę zawstydzony z powodu przyjemności, jaką odczuwał na widok wijącego się brata.

– Tak, sir – odparł Tink. Podo patrzył na niego tak długo, że powtórzył: – Tak, sir.

– Wszystko w porządku, dziewczeczko? – Podo odwrócił się z uśmiechem do Leeli.

Skinęła głową i założyła za ucho kilka falujących pukli włosów.

– Dziadku, kiedy wyjeżdżamy?

Wszystkie oczy zgromadzonych w drzewnym domku popatrzyły na nią ze zdziwieniem. Rodzina spędziła w lesie wiele tygodni we względnie spokojnym spokoju, ale z biegiem dni coraz trudniej było unikać tego przemilczanego pytania. Wiedzieli, że nie mogą zostać tu na zawsze. Gnag Bezimienny i Fangowie z Dang wciąż terroryzowali krainę Skree i z każdym dniem ich cień pokrywał coraz więcej terenów Aerwiar. Było tylko kwestią czasu, kiedy ponownie dosięgnie rodziny Igibych.

– Wkrótce musimy wyjechać – powiedziała Nia, patrząc w kierunku Glipwood. – Kiedy liście opadną, Fangowie dostrzegą tę kryjówkę, prawda, Artham?

Peet podskoczył lekko na dźwięk swego imienia i przez chwilę dra-
pał się w tył głowy, nim się odezwał.

– Nadchodzi mroźna zima, drzewa tracą liście, mosty będą dobrze
widoczne. Tak. Rowinniśmy puszać – powinniśmy ruszać.

– Na Lodowe Prerie? – zapytał Janner.

– Tak – odpowiedziała Nia. – Fangowie nie lubią zimna. Wszyscy
widzieliśmy, o ile wolniej poruszają się zimą, nawet tutaj. Miejmy na-
dzieję, że w miejscu tak zamarzniętym jak Lodowe Prerie będzie nie-
wielu Fangów.

Podo chrząknął.

– Wiem, co masz na myśli, i tej opcji w ogóle nie bierzemy pod
uwagę – powiedziała stanowczo Nia.

– Co dziadek ma na myśli? – zapytał Tink.

– To zostanie między mną a twoim dziadkiem.

– Jaką opcję dziadek ma na myśli? – poparł brata Janner, zdając so-
bie sprawę, że mówi bardziej dorośle niż zwykle.

Nia spojrzała na Jannera i zastanawiała się, czy powinna mu odpo-
wiedzieć. Długo skrywała przed dziećmi wiele tajemnic i dla Jannera
było oczywiste, że wciąż trudno jej było się przed nimi otwierać. Teraz
jednak było inaczej. Chłopiec wiedział, kim jest, kim był jego ojciec,
i miał jako takie pojęcie, o jaką stawkę toczy się gra. Zauważył nawet,
że matka i dziadek liczą się z jego zdaniem. Bycie Strażnikiem Tronu –
a przynajmniej *odkrycie tego, że nim jest* – zmieniło sposób, w jaki go
postrzegali.

– No cóż – zaczęła Nia, wciąż niepokorna, ile powiedzieć.

Podo zdecydował za nią:

– Myślę, że musimy zrobić coś więcej niż tylko dotrzeć na Lodowe
Prerie i siedzieć cicho jak stadko chropawych ropuchonorów, czekając,
co się wydarzy. Jeśli Oskar miał rację, że na północy mieszka kolonia
ludzi, którzy nie lubią żyć pod butem Fangów, i jeśli to prawda, że chcą

walczyć, to nie potrzebują nas, aby się uzbroić i wykurzyć Fangów z powrotem do Dang. Mówię ci, że klejnoty powinny znaleźć statek i wrócić do domu. – Zwrócił się do swojej córki: – Pomyśl o tym, dziewczeczko! Wy moglibyście popłynąć z powrotem przez Morze Ciemności do Anniery...

– „Wy”? Kogo dokładnie masz na myśli? – zapytał Tink.

– Nikogo – fuknął Podo, machając ręką. – Nia, możesz wrócić do domu. Zastanów się nad tym!

– Tam nic dla nas nie zostało – odparła Nia.

– W porządku! Zapomnijmy o Annierze. A Doliny? Nie widziałś Zielonych Dolin od dziesięciu lat, a o ile wiesz, Fangowie nawet nie postavili tam stopy! Być może rodzina twojej matki nadal tam mieszka i myśli, że umarłaś razem z nami wszystkimi.

Nia zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Peet i dzieci wpatrywali się w podłogę. Janner nawet nie pomyślał, że może mieć daleką rodzinę mieszkającą za morzem, na zboczach Zielonych Dolin.

Zgadzał się z matką, że pomysł takiej podróży wydaje się głupotą. Najpierw musieliby ominąć Fangów w Torrboro, a potem udać się na północ, przez Góry Kamienne, aż do Lodowych Prerii. A teraz Podo mówi o przepłynięciu *oceanu*? Janner nigdy nie myślał o świecie w tak odległych kategoriach.

Nia otworzyła oczy i przemówiła:

– Tato, teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko znaleźć drogę na północ. Nie musimy płynąć za morze. Nie musimy wracać do Anniery. Nie musimy jechać do Zielonych Dolin. Musimy udać się na północ, jak najdalej od Fangów. To wszystko. Zabierzmy te dzieci bezpiecznie na prerie i wtedy dokończymy tę dyskusję.

Podo westchnął.

– Dobrze, dziewczeczko. Już sama droga na prerie sprawi nam dosyć kłopotów. – Spojrzał na Peeta, który stał na głowie w kącie izby. – Przypuszczam, że pojedziesz z nami.

Peet sapnął i upadł na podłogę, po czym zerwał się na równe nogi i zasalutował przed Podem. Leeli zachichotała.

– Tak, sir – powiedział, naśladowując szorstki głos Poda. – Jestem gotów do drogi, jak tylko rodzina Featherwingów będzie gotowa. Wiem nawet, jak dostać się na Lodowe Prerie. Byłem tam kiedyś, dawno temu. Niewiele tam do zobaczenia oprócz lodu, prerii i lodu, białego, oślepiającego i zimnego. Jest tam bardzo zimno. Lodowato. – Peet wziął głęboki oddech i klasnął dłońmi w skarpetach. – W porządku! Wyruszamy!

Otworzył klapę i wyskoczył przez właz, zanim Podo lub ktokolwiek z Igibych zdążyli go zatrzymać. Dzieci podbiegły tam i patrzyły, jak ześlizguje się w dół po sznurkowej drabinie i maszeruje w kierunku północnym. Z jamy pod płataniną gigantycznych korzeni drzew, w której zwykle spał, Nugget podniósł wielkie, obwisłe uszy i nie unosząc głowy z łap, patrzył, jak Peet znika w lesie.

– Wróci, jak się zorientuje, że nie ma nas obok niego. – Leeli się uśmiechnęła. Spędzali z Peetem długie godziny; albo czytali opowiadania, albo Peet tańczył, wymachując zamasyżycie ramionami w skarpetach, podczas gdy ona grała na swojej fletoharfie. Obecność Leeli zdawała się mieć leczniczy wpływ na Peeta. Kiedy byli razem, jego drżączka ustawała, rozbiegany wzrok się uspokajał, a głos robił się spokojniejszy i mniej nerwowy. Ten silny i przyjemny głos pomagał Jannerowi uwierzyć w opowieści matki o wyczynach Arthama P. Wingfeathera w Annierze przed wybuchem Wielkiej Wojny.

Jedynym negatywnym aspektem przyjaźni Leeli i Peeta był fakt, że wzbudzała zazdrość dziadka. Zanim Peet Skarpeciarz wkroczył w ich życie, Poda i Leeli łączyła szczególna więź, częściowo dlatego, że każde z nich miało tylko jedną zdrową nogę, a częściowo z powodu tego prawdziwego uczucia, jakie łączy dziadków i ich wnuczki. Nia powiedziała kiedyś Jannerowi, że to również dlatego, że Leeli bardzo przypomina swoją babcię, Wendolyn.

Gdy dzieci patrzyły, jak Peet odchodzi, nad drzewnym domkiem przemknął szybki cień, a po nim zabrzmiał wysoki, przyjemny dźwięk, niczym odgłos wielkiego dzwonu uderzonego małym młotkiem.

– Samotny złotopiór² – zauważyła Leeli. – Jutro pierwszy dzień jesieni.

– Tato – powiedziała Nia.

– Hę? – Podo wyrżał przez okno w kierunku, w którym zniknął Peet.

– Myślę, że już czas, byśmy wyruszyli – rzekła.

Tink i Janner spojrzeli po sobie i się uśmiechnęli. Cała tęsknota za domem zniknęła. Po tygodniach czekania nadszedł czas przygody.

2 W Aerwiar lot samotnego złotopióra oficjalnie zwiastuje ostatni dzień lata. Ten gigantyczny złoty ptak oblatuje planetę w długich, wznoszących okrążeniach, a po drodze rozpiętość jego skrzydeł rzuca na miasta niesamowity krótkotrwały cień. Kiedy dociera do północnego bieguna Aerwiar, zapada w zimowy sen aż do wiosny, po czym budzi się i na nowo odbywa swoją podróż.

Pokój numer osiem w Jedynej Gospodzie (Jedynej gospodzie w Glipwood)

Po tym, jak przemknął nad domkiem Peeta, cień samotnego złotopióra musnął też po plecach Joego Shoostera, właściciela Jedynej Gospody (jedynej gospody w Glipwood), który leżał przygwożdżony twarzą do ziemi i dusił w sobie łzy. Jego żona, Addie, stała we frontowych drzwiach gospody. Zakrywając rękami usta, tłumila krzyk i patrzyła z przerażeniem, jak Fang wgniata swój but coraz mocniej w plecy jej męża.

Dzień był jasny i wietrzny. Porywy wiatru niosły po ulicach zeschnięte liście i plewy i wciskały je w zakamarki zniszczonych budynków. Kilka tygodni wcześniej miasteczko Glipwood zostało zniszczone przez potężny sztorm, który spadł na Skree niczym apokaliptyczne tupnięcie Stwórcy. Kwaciarnia Ferinii straciła dach i cały budynek zalał deszcz. Niektóre domy zostały zrównane z ziemią i spora część Glipwood stała się rumowiskiem. Inne, takie jak Jedyna Gospoda, Książki i Zakamarki czy miejskie więzienie, ostały się i stanowiły dzisiaj zaledwie smutne wspomnienie miasta, które kiedyś leżało cicho i spokojnie na skraju klifów.

Joe krzywił się i mówił z trudem.

– Nie, mój panie, nie widziałem ich. Przysięgam.

Fang wyrznął Joemu w głowę tępą częścią włóczni – mocno, ale nie na tyle, by stracił przytomność. Z ust Addie wyrwał się krzyk. Fang odwrócił gwałtownie głowę i zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. Joe

czuł, jak zimny, wilgotny ogon Fanga przesuwiał się po jego plecach, gdy jaszczur po nim przechodził. Fang wszedł po schodach i podszedł do frontowych drzwi gospody. Addie wrzasnęła, gdy wpadł przez wahałdłowe drzwi i chwycił ją za kark.

– To teraz ty, cuchnąca kobieto – warknął Fang, zakrywając zadarty nos i tłumiąc odruchy wymiotne³. – Spójrz staremu Higgkowi w oczy i gadaj, czy miałaś jakieś wieści od rodziny Igibych, czy tego podłego człowieka, który prowadził księgarnię, Oskara Reteepa. A może widziałaś ich ostatnio?

Addie zbladła i zadrżała. Nie była w stanie mówić ani oderwać wzroku od długich, ociekających jadem kłów, sterczących z paszczy jaszczura.

– Ona do niczego się nie przyda, Higgk – zawołał inny Fang, który z zadowoleniem przyglądał im się z ulicy. – Sprawdź, co robi, gdy ją ugryziesz.

– Właśnie! – zawołał inny. – Przecież to po to masz jad na zębach, co nie?

Joe Shooster zerwał się na kolana i splótł dłonie w błagalnym geście.

– Proszę, panowie! Nie róbcie krzywdy mojej Addie. Ona nic nie wie. Ja też nie, przysięgam.

Joe starał się zachować spokój, ale nie był w stanie, widząc bladą twarz żony tak blisko zębów Fanga.

– Błagam.

Fangowie z Dang rozkoszowali się, patrząc, jak Joe i jego żona się wiją, i zaczęli skandować chórem, aby Higgk ugryzł kobietę. Higgk uśmiechnął się i otworzył paszczę. Jego kły się wydłużyły i spłynęły po

3 Nawet jak na ludzkie standardy, Addie Shooster była mocno pachnąca. W Glipwood wychwalano jej zdolności kulinarne jako najlepsze w Skree i gdy akurat nie pachniała pieczenią, ziemniakami czy zupą rybną z serem, to obficie skrapiała szyję i ramiona perfumami z kwiatowych płatków. To zapewne te perfumy miał na myśli Fang.

nich strużki jadu, które skapnęły na bluzkę Addie i parując, wypaliły w niej dziury. Oczy kobiety wywróciły się do tyłu, a jej powieki zatrzepotały. Joe modlił się, aby była nieprzytomna, gdy Fang będzie ją gryzł. Osunęła się i zawisła bezwładnie na ramieniu jaszczura.

Z głębi Jedynej Gospody dobiegł długi gwizd. Joe w zamroczeniu zorientował się, że to imbryk na piecyku w kuchni.

Oczy Addie zatrzepotały.

– Herbata gotowa – wymamrotała, a Joe w przeblysku olśnienia zerwał się na równe nogi.

– Zaczekajcie! – zawołał.

– Bo co? – warknął Higgk. – Nagle sobie przypomniałeś, gdzie szukać Igibych?

– Nie, panie, ale jeśli zabraknie mojej Addie, to kto wam ugotuje glutowsiankę? Nikt inny w Skree nie potrafi jej tak przyrządzić, jak Addie Shooster. A placek z moskitami? A krwawinę z siekanej grdyki?⁴

Higgk się zawahał. Pozostali Fangowie przestali się wydzierać i przechylając głowy na boki, przyglądali się Joemu i Addie z nowej perspektywy. Poza gwizdem imbryka panowała cisza. Joe wytarł ręce w fartuch i spojrzał na żonę. Poczuli się pewniej i powiedziała:

– M-moja zapiekanka z ciętych nosów jest okropnie smaczna, sir.

– Niech będzie – mruknął Higgk.

Puścił Addie, a ta upadła bezwładnie na ziemię. Joe podbiegł do niej i pocałował ją w czoło.

– Faj – skrzywił się Fang. – Jak przed zachodem słońca nie dostanę talerza tej zapiekanki z ciętych nosów, to dokończę, co zacząłem. – Fangowie syczeli, warczeli i krztusili się od śmiechu na potwierdzenie jego

4 Joe przypomniał sobie układ, jaki Nia Igiby zawarła z nieżyjącym komendantem Gnormem, w myśl którego miała co tydzień przyrządzać mu pieczeń z larwami. Dzięki temu nie tylko uratowała dzieci przed miejskim więzieniem i Czarnym Powozem, lecz także zyskała pewną nieetykalność ze strony Fangów, którzy byli zbyt leniwi, by sami sobie gotować, a cenili takie posiłki równie wysoko, co złoto, biżuterię czy mordowanie.

słów. – A jeśli dowiecie się czegoś o Reteepie czy Igibych i nie powiecie Higgekowi, to żadna ilość żarcia nie uratuje waszych śmierzących ssskór.

Joe i Addie popędzili do kuchni i zabrali się do przygotowywania zapiekanki z ciętych nosów, której nazwę Addie wymyśliła na poczekaniu. Wysłała Joego na poszukiwania jak największej liczby gryzoni, aby mogła rozpocząć pracę nad odkrawaniem ich małych czarnych nosków.

Joe pocałował ją i podziękował Stwórcy, że oboje nadal żyją.

– Niedługo wrócę, kochanie – powiedział.

Przewiesił fartuch przez oparcie krzesła i wciągnął kalosze, ale zawałał się, stojąc z ręką na klamce. Wyrzwał przez okno na tylny dziedziniec. Nie widział żadnych Fangów.

Zamiast wyjść na dwór, wszedł na paluszkach kuchennymi schodami na drugie piętro gospody. Zatrzymał się i spojrzał na korytarz z rzędami drzwi po obu stronach.

Nasłuchiwał. Z ulicy dobiegał go stłumiony rechot Fangów. Słyszał skrzypienie starego budynku i porywy wiatru na zewnątrz. Przeszedł korytarzem do pokoju numer osiem i otworzył drzwi.

W pokoju numer osiem znajdowały się schludnie zaścielone łóżko, misa do mycia na komodzie i biurko. Wszystkie meble były proste, ale solidne. Joe podszedł do okna i z ukłuciem smutku spojrzał na ruiny Glipwood. Pod oknami rozpościerało się to, co pozostało z tawerny Shaggy'ego. Kamienny komin sterczał jak pień starego, obumarłego drzewa, a po ziemi wałyły się deski, połamane stołki i rozbite butelki.

Krzywiąc się na skrzypienie swych kroków po drewnianej podłodze, podkraść się do komody i odsunął ją od ściany. Tam znajdowały się małe drzwi. Joe rozejrzał się uważnie dookoła, po czym schylił się i wsunął przez nie, zaciągając za sobą komodę.

Za drzwiczkami znajdował się ciasny pokój, oświetlony tylko przez małe okienko w suficie. Światło było słabe, ale po chwili oczy Joe przywykły i dostrzegł na łóżku pulchną, drżącą postać.

– Witaj, stary przyjacielu – szepnął Joe.

Mężczyzna poruszył się i próbował usiąść. Jego wielki brzuch okryty był przesiąkniętym krwią bandażem.

Joe położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie siadaj. Muszę wyjść na jakiś czas, ale najpierw chciałem sprawdzić, co z tobą. Potrzebujesz wody?

Mężczyzna na łóżku bezskutecznie próbował przyklepać kosmyk siwych włosów do łysiejącej głowy.

– Jestem... spieczony na wiór – wysapał – parafrazując mądre słowa... Lou di Cicacellicelliego.

– Wierzę ci na słowo – odparł z uśmiechem Joe. Nalał do kubka wody z dzbanka obok łóżka i podniósł go do ust Oskara N. Reteepa. – Wróć później, by zmienić ci bandaż. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Oskar z trudem przełknął wodę.

– Byłoby wspaniale dostać jeszcze parę książek, jeśli to nie jest zbyt wielki problem.

Joe spojrzał na stosy książek w każdym rogu pokoju.

– Postaram się – powiedział i westchnął. – A ty odpoczywaj. Wróć tu dziś wieczorem. Dobrze, że znowu jesteś w stanie mówić, Oskarze.

– Tak – wysapał księgarz. – Joe, muszę ci wiele opowiedzieć. *Zouzab... strzeż się...* – Przerwał mu napad kaszlu.

– W porządku. Później będzie czas, byś mi o wszystkim opowiedział. Wkrótce Joe będzie musiał powiedzieć Oskarowi, że jego mały towarzysz Zouzab zniknął, prawdopodobnie zabity przez Fangów. Nie chciał jeszcze bardziej pogłębiać smutku staruszka.

Oskar opadł na poduszki i natychmiast zasnął. Choć wyglądał źle, bardzo wydobrzała w ciągu tych kilku tygodni, odkąd Joe znalazł go zakrwawionego na podłodze Książek i Zakamarków. W dniu, w którym uderzył sztorm, Joe i Addie spędzili kawał popołudnia, próbując przenieść go niepostrzeżenie do gospody. Żadne oddziały żołnierzy

nie przybyły od tamtej nocy przed sztormem, kiedy to Podo i rodzina Igibych uciekli do dworu Anklejelly przed setkami ścigających ich Fangów. Joe wciąż nie był pewien, co tamtej nocy stało się z jaszczurami, ale wyglądało na to, że ktoś lub coś zabiło ich wszystkich.

Kiedy następnego ranka po bitwie Shoosterowie wyszli z kryjówki, mieli wrażenie, jakby świat Aerwiar dobiegł końca. Ciemne chmury kłębiły się na niebie nad opuszczonym miastem, a na ulicach pełno było kurzu, kości i zbroi niezliczonych Fangów. Potem Shaggy wychynął z tawerny i Shoosterowie poczuili na jego widok wielką ulgę. Byli sąsiadami od dziesięcioleci i jedynymi mieszkańcami Glipwood, którzy woleli zostać niż uciekać do Torrboro czy Dugtown w noc, kiedy Igiby wywalczyli sobie wolność od Czarnego Powozu.

Później jednak jedyny przyjaciel Shoosterów, który im pozostał, został im odebrany.

Pewnego popołudnia grupa Fangów przechodziła przez Glipwood w drodze z Fortu Lamendron na północ. Z drugiego piętra Jedynej Gospody Shoosterowie patrzyli bezradnie, jak Shaggy pcha ulicą taczki z drewnem na opał. Kiedy Fangowie go zobaczyli, powalili go na ziemię, a jeden z jaszczurów zatopił kły w jego nodze.

Fangowie odeszli tak szybko, jak przybyli, ale gdy Joe i Addie podbiegli do Shaggy'ego, już nie żył. Shoosterowie w rozpaczach pochowali swojego przyjaciela na cmentarzu Glipwood na południowym krańcu Vibbly Way. Joe zerwał z ruin budynku szyld „Tawerna Shaggy'ego”, na którym, poza nazwą, widniał wizerunek psa palącego fajkę. Umieścił go na szczycie płyty nagrobnej po tym, jak wyrzeźbił na niej swoim najlepszym stylem napis: „Shaggy Bandibund, wzorowy sąsiad i przyjaciel”.

A teraz Fangowie powrócili i żądali informacji o miejscu pobytu Reteepa, Poda Helmera i rodziny Igibych, lecz Joe nie miał pojęcia dlaczego. Oskar dużo mamrotał przez sen o Lodowych Preriach i klejnotach

Anniery, czymkolwiek były, ale Joe Shooster był tylko właścicielem Jedyniej Gospody. Nic nie wiedział o takich rzeczach i nie obchodziły go. Pragnął tylko, by Oskar wyzdrowiał i życie w jakiś sposób wróciło do stanu z czasów, zanim Fangowie postavili stopę w Skree.

Jeśli Fangowie szukali Oskara, to Joe Shooster uznał, że najlepiej będzie go ukrywać. Kiedy rany staruszka się zagoją, Joe pomyśli, co dalej. Do tego czasu musi być ostrożny. Jak Joe właśnie się przekonał, patrząc na Higgka, nie tylko życie Oskara było w niebezpieczeństwie, lecz także jego i słodkiej Addie. Nie mógł znieść myśli, że miałyby się jej stać jakaś krzywda.

Joe na pożegnanie poklepał Oskara po nodze, a ten chrząknął w odpowiedzi. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał zza komody, po czym odsunął ją na bok i wyszedł przez drzwiczki. Przesunął komodę z powrotem na miejsce i zamarł.

Co to był za dźwięk? Jakiś ruch za oknem za jego plecami? Joe cały oblał się potem, a jego umysł wypełnił strach. Ruchem tak zwyczajnym, jak to możliwe, wyjął chusteczkę z kieszeni kamizelki i odkurzył blat komody. Nucąc pod nosem, przesunął się od komody do biurka i zaryzykował spojrzenie na okno.

Zza szyby ktoś na niego spoglądał.

Drobna postać o delikatnych rysach i w tunice ze skrawków przysiadła za oknem pokoju numer osiem. Jej oczy były przenikliwe i zimne i sprawiły, że Joe zamarł.

– Zouzab! – powiedział na głos Joe, zadowolony i zmieszany na widok małego graniobieżcy. Oskar ucieszy się na wieść, że jego przyjaciel wciąż żyje.

Pomachał do niego, a ten skinął głową w odpowiedzi. Ta drobna istotka pewnie martwiła się o swojego dawnego pana i byłaby wielką pomocą dla Joego i Addie w opiece nad Oskarem. Joe włożył chusteczkę z powrotem do kieszeni i otworzył okno.

– Witaj, Zouzabie! – powiedział, a graniobieżca wskoczył przez okno jak pająk. – Dobrze jest zobaczyć w Glipwood znajomą twarz.

– Witam, panie Shooster – odrzekł Zouzab. Jego głos był cienki i drżący, nie jak głos dziecka, ale też nie jak głos mężczyzny.

Joe poklepał małego ludka po głowie i nie dostrzegł wstępu, który w tym momencie pojawił się na jego twarzy.

– Przypuszczam, że zastanawiasz się, co się dzieje z Oskarem, prawda? – Uśmiechnął się do niego szczęśliwy, że będzie mógł mu przekazać dobre wieści.

Oczy Zouzaba rozszerzyły się prawie niezauważalnie i skinął głową.

– Tak, panie Shooster, głęboko martwię się o jego... zdrowie.

– Cóż – powiedział Joe i przypomniał sobie słowa Oskara sprzed kilku minut: „Zouzab... strzeż się”.

Joe założył, że Oskar chce ostrzec swojego małego przyjaciela, by uważał na Fangów – ale teraz nie był już tego taki pewien. W sposobie, w jaki graniobieżca mu się przyglądał, było coś złowrogiego.

– Oskar... – zawahał się Joe.

Zouzab zrobił krok do przodu.

– No cóż... nie widziałem go od dnia, w którym cały ten chaos ogarnął Glipwood. A ty? – Joe odchrząknął, wyjął chusteczkę i zajął się odkurzaniem reszty mebli w pokoju, wygładzaniem prześcieradeł i poprawianiem poduszek, w pełni świadom obecności Oskara po drugiej stronie ściany. Modlił się, by staruszek się nie obudził ani nie zachrapał.

Joe otworzył drzwi na korytarz i zatrzymał się w progu.

– Chciałbyś do mnie dołączyć? Mam jeszcze dwanaście pokoi do odkurzenia i zapewniam cię, że to iście porywające zajęcie. A jeśli nie, to możesz wyjść tą samą drogą, którą przyszedłeś.

Zouzab obserwował go w milczeniu, jak kot gotowy do skoku. Stali w pokoju numer osiem przez długą chwilę, która Joemu wydawała się

wiecznością, po czym Zouzab po raz ostatni omiótł pokój spojrzeniem, uklonił się i zwinnie wskoczył na parapet.

– Do widzenia, panie Shooster – powiedział Zouzab i zniknął z trzepotem łataney tuniki.

Joe przeszedł przez pokój na drżących nogach, aby zamknąć i zaryglować okno. Nagle ciszę przerwał głośny odgłos puszczenia wiatrów z sekretnego pokoju Oskara.

W oknie pojawiła się głowa Zouzaba.

– Oj, przepraszam – rzekł Joe i wzruszył ramionami.

Graniobieżca zmrużył oczy, zmarszczył nos i zniknął.

Dwa plany

Podniecenie Jannera i Tinka wyparowało.

Mali chłopcy zapominają czasem, że przed wyjazdem na spotkanie z przygodą, o ile to możliwe, trzeba się spakować. W niektórych sytuacjach pakowanie jest kwestią drugorzędną – na przykład podczas ucieczki z płonącego budynku – ale jeśli przed wyjazdem jest czas na planowanie, organizowanie i omawianie spraw, to jest pewne jak słońce, że dorośli będą to robić. Kiedy dzieci mówią, że czas już ruszać, to mają na myśli: „Czas już ruszać”. Kiedy dorośli tak mówią, to w rzeczywistości mają na myśli: „Czas zacząć myśleć o wyjeździe, który nastąpi w niedalekiej przyszłości”.

Po tym, jak Nia oświadczyła, że czas ruszać w drogę, ona i Podo zajęli się codziennymi obowiązkami, tak jakby w ogóle nie podjęto tej niesłychanie ważnej decyzji. Następnego dnia dzieci rąbały drewno na opał, prały ubrania i koce, przynosiły wodę ze strumienia i szykowały mięso do solenia i suszenia, a dorośli planowali, organizowali i omawiali różne ustalenia.

Tego wieczoru, po kolacji, Nia i Podo rozwinęli starą mapę, aby wytyczyć trasę do Lodowych Prerii. Ustalili, że udadzą się na południe, na skraj lasu, potem skręcą na zachód i będą się poruszać wzdłuż granicy, aż dotrą do drogi prowadzącej do Torrboro. Stamtąd mieli znowu udać się na południe i na zachód, aby ominąć miasto i stacjonujących tam Fangów.

– Trzy dni na zachód od Torrboro rwąca rzeka Blapp nie jest już taka rwąca. Jest szeroka, ale dość płytka i można w niej brodzić – powiedział Podo. – I Fangów nie powinno być tam wielu.

– A co z Zaporą? – spytała Nia.

– Co to jest Zapora? – zaciekał się Janner.

– Podejrzewam, że o niej nie słyszałeś. Znajduje się tutaj – powiedział Podo i przesunął palcem po mapie. – Zapora to najskuteczniejszy wysiłek Gnaga, by powstrzymać Skreańczyków przed robieniem tego, co my teraz próbujemy zrobić. To ściana biegnąca wzdłuż południowej granicy Gór Kamiennych. Dzień i noc patrolują ją Fangowie. Kilka lat po tym, jak przejęli nad nami władzę, ludzie zorientowali się, że jaszczury nie poruszają się zbyt szybko na mrozie, więc wielu Skreańczyków uciekło na północ. Oczywiście większość z nich zginęła. Fangowie na mrozie poruszają się wolniej, ale nadal są w stanie walczyć i gryźć. Zwłaszcza gdy ścigają kobiety, dzieci i nieuzbrojonych mężczyzn. Odpowiedzią Gnaga było wzniesienie Zapory. Ona nie zatrzymuje wszystkich – to długa konstrukcja do patrolowania, jak widzicie – ale spełnia swoje zadanie na tyle dobrze, że zatrzymuje masowe ucieczki. Oskar powiedział mi, że jeśli komuś uda się dotrzeć na zachodnią stronę Torrboro i podróżuje we względnie niewielkiej grupie, to może znaleźć wyrwę w Zaporze i prześlizgnąć się niepostrzeżenie. To właśnie planujemy zrobić.

– A Peet twierdzi, że może nas przeprowadzić przez góry – dodała Nia.

– Chyba że pewnego ranka obudzi się, szarpiąc swą szaloną głową na boki, i poprowadzi nas tak, że spadniemy z klifu – skomentował Podo. – Albo trafimy wprost na rozpadliny lub stado nubloroźców⁵.

– Nugget nie boi się nubloroźców – powiedziała z dumą Leeli. Leżący na podłodze pies warknął na dźwięk swojego imienia. Janner nie

5 Nubloroźce! Biada!

chciał mówić Leeli, że nawet Nugget byłby łatwym łupem dla nublorożca.

– Będziemy potrzebowali prowiantu na dwadzieścia dni – oznajmiła Nia.

– Właśnie, co oznacza, że powinniśmy zaplanować na trzydzieści – uznał Podo.

– Dlaczego? – spytał Janner.

– Gdyż nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, skarbie – odrzekła Nia. – Takie podróże rzadko przebiegają zgodnie z planem.

– Jak wyliczyłeś ten czas, dziadku? – zapytał Janner. – Podróż do Lodowych Prerii zajmie nam aż dwadzieścia dni?

– No cóż, do Torrboro są jakieś dwa dni, trzy dni później dotrzemy do przeprawy na rzece Blapp i... wiesz co, chłopcze? – spytał łagodnie Podo.

– Tak, sir?

– Łatwiej mi będzie to pokazać niż wyjaśniać. Przed nami jeszcze wiele przygotowań, ale w toku samej podróży dowiesz się więcej, niż mogę ci teraz powiedzieć. Rozumiesz?

Janner westchnął.

– Tak, sir.

Nia i Podo poszli omawiać przygotowania do drugiego pokoju i zostawili dzieciom długą listę zadań do wykonania w ramach TWP⁶, aby miały czym zająć umysły do samego wieczora.



6 TWP – Trzy Wielkie Przedmioty: Słowo, Forma i Pieśń. Niektórzy niezbyt mądrzy ludzie uważają, że istnieje także czwarty Wielki Przedmiot, ale ci naukowcy tkwią w godnym pożałowania błędzie.

Dzieci Igibych szykowały się do słuchania wieczornej opowieści Poda, a tymczasem Oskar N. Reteep z trudem czytał przy gasnącym świetle, wpadającym przez okno w suficie jego sekretnego pokoju. Mrużąc oczy, doczytał w okularach ostatnie zdania książki pod tytułem *Anatomia zniewagi*⁷.

– Głupia, stara wiedźma – mruknął Oskar i odrzucił książkę na bok. Wylądowała na stercie innych w wąskiej przestrzeni między łóżkiem a ścianą. – Nie odróżniłaby porządnej zniewagi od ropuchonora.

Oskar przypomniał sobie, że zasnął, zanim zdążył ostrzec Joego przed Zouzabem. Wątpił, czy mały zdrajca wciąż jest w pobliżu, ale na wszelki wypadek Joe i Addie powinni wiedzieć, że graniobieżca jest w zмовie z Fangami.

Oskar był okropnie głodny i przypuszczał, że spał dłużej niż dzień, a w tym czasie Joe go nie odwiedzał, chociaż nie był tego pewien. Czuł się też silniejszy. Stan jego zdrowia znacznie się poprawił i był już w stanie mówić bez kaszlu.

Skrzywił się, gdy dźwignął się i opuszcł nogi na podłogę. Jedną rękę położył ostrożnie na bandażu owiniętym wokół tułowia. Wczesnym rankiem w świetle lampy stwierdził, że jest w stanie ustać, a nawet wolno się poruszać po swojej niewielkiej kwaterze. Cieszył się niezmiernie, że będzie mógł zademonstrować swoje umiejętności Joemu przy kolejnej wizycie, ale ku jego rozczarowaniu i rosnącemu zmartwieniu Joe się nie pojawił. Oskar nie słyszał żadnych znajomych kroków ani głosów z kuchni czy świetlicy. Cały dzień czytał książki, niektóre po raz kolejny, próbując uciszyć dręczący strach, że coś jest nie tak.

Joe lub Addie codziennie zmieniali mu bandaż, przynosili wodę i jedzenie, a kiedy Oskar był na tyle przytomny, że mógł słuchać, rozmawiali

7 Autorstwa Helby Grounce-Miglatobe, znanej psycholog, która twierdziła w swej książce, że była niesłusznie wyśmiewana jako dziecko i przez to stała się ekspertem w dziedzinie „podłości i zniewagi”.

z nim ściszonymi głosami o Fangach, rodzinie Igibych i Podzie. Oskar pilnował się, by nie zdradzić im prawdziwej tożsamości dzieci Igibych. Im mniej wiedzieli, tym lepiej.

Początkowo martwił się tylko o Shoosterów. Teraz był spragniony, burczało mu w żołądku i zaczął zastanawiać się nad powagą swojej sytuacji. Wątpił, czy byłby już w stanie sam o siebie zadbać albo chociaż precyzyjnie się bez pomocy przez małe drzwi, a myśl o śmierci z głodu lub pragnienia w tym ukrytym pokoju sprawiała, że wydał mu się on jak grobowiec. Zastanawiał się, czy za kilka lat ktoś odkryje jego szkielet leżący na łóżku w otoczeniu książek. Zastanawiał się, jaką książkę będzie czytał w chwili, gdy wyda ostatnie tchnienie, i postanowił, że gdy tylko wyczuje nadchodzący koniec, to sięgnie po jakąś dobrą, aby ten, kto go odnajdzie, wiedział, że miał dobry gust literacki. Oskar zdjął okulary i wyczyścił je rogiem prześcieradła.

Założył na powrót okulary i przyklepał długie pasmo włosów w poprzek głowy. Oskar nie potrafił przyznawać się do porażki ani do tego, że jest łysy jak kolano. Spojrzał na niskie drzwiczki w przeciwległej ścianie. Jego rana przestała krwawić, ale nie był jeszcze w stanie się przez nie przeczołgać. Zaśmiał się na myśl, że jego okazały brzuch może być większą przeszkodą niż rana po dźgnięciu nożem.

Jego rozmyślania na temat wydatnego brzucha i jego wpływu na ucieczkę nagle przerwał krzyk, który przedarł się przez drewniane ściany gospody. Oskar zeszytywniał. Krzyk ucichł, a po nim zabrzmiało przytłumione warczenie Fangów. Staruszek szeptał pod nosem ciche modlitwy, kiedy rozglądał się rozpaczliwie po swojej zacienionej celi i zastanawiał, co ma zrobić. Zebrał siły, wziął głęboki oddech i wstał. Gwiazdy zawirowały mu przed oczami. Potem usłyszał kolejny krzyk. Brzmiał jak głos Addie.

Oskar zbliżał się do drzwi, stawiając jeden bolesny krok za drugim i obrzucał swą nadwagę, ranę oraz Fangów z Dang obelgami,

zaczepniętymi głównie z lektury ostatniej książki Helby Grounce-Miglatobe. Dotarł do drzwi i oparł się dłonią o ścianę, by złapać równowagę. Oddychał ciężko i spostrzegł z ukłuciem paniki, że na jego bandażu pojawiła się świeża plama krwi.

Uklęknął z wielkim wysiłkiem i oparł się ramieniem o tył komody, która służyła mu za drzwi. Odgłosy szamotaniny dochodzące spod gospody stały się wyraźniejsze, a Fangowie już nie tylko warczeli, lecz także się śmiali.

Nie miał pojęcia, co zrobi po wyjściu z pokoju, ale instynkt kazał mu zrobić *cokolwiek*. Nie wiedział, jakie będzie najlepsze rozwiązanie w jego sytuacji, ale był pewien, że nie powinien leżeć w łóżku i przysłuchiwać się, jak jego przyjaciele są chwytni – lub zabijani – przez Fangów.

Oskar pchnął z całej siły i komoda się odsunęła.

Krzywiąc się z powodu bólu w klatce piersiowej, doczołgał się do otwartego okna i zachłysnął na widok tego, co zobaczył. Tawerna Shaggy'ego była ruiną i stertą połamanych desek. Po drugiej stronie ulicy to, co zostało z kwaciarni Ferinii, leżało zniszczone i smutne jak zdeptana lilia. Z ulgą zobaczył, że tuż obok jego księgarnia Książki i Zakamarki nadal stoi nienaruszona, tak jak zapewniała go Addie Shooster, i że brakuje jej tylko kilku gontów na dachu.

Szok Oskara na widok zrujnowanego Glipwood zmienił się w przerażenie, gdy dostrzegł, skąd dobiegają krzyki.

Dwa kare konie stały zaprzężone do Czarnego Powozu. To jednak nie był taki Czarny Powóz, jaki Oskar widział tej nocy, gdy Podo Helmer i Peet Skarpeciarz walczyli z Fangami. Ten był dłuższy i węższy i, ku przerażeniu Oskara, wyglądał jeszcze groźniej niż poprzedni. Zamiast z jednej komory składał się z kilku poziomych skrzyń, każdej wystarczająco dużej dla jednego człowieka – zupełnie jakby wiózł stos żelaznych trumien. Ze szczytu powozu sterczały długie kolce i tworzyły coś na wzór okrągłej wieżyczki, w której dwaj Fangowie siedzieli z kuszami.

Joe Shooster leżał nieruchomo na ulicy. Otaczała go zgraja Fangów, którzy dźgali go tępyimi końcami włóczni. Jakiś Fang chwycił Addie z tyłu za ramiona i zepchnął ją ze schodów więzienia. Jeden z jaszczurów na dachu powozu przesunął dźwignię i najniższe z poziomych drzwiczek otworzyły się ze szczękiem. Dwóch Fangów zaciągnęło Joego do powozu i wrzuciło go do środka. Addie krzyczała, gdy wpychali ją do skrzyni nad Joem. Fangowie zatrzasnęli drzwi trumien i śmiali się, gdy zakapturzony woźnica strzelił z bata i zniknął z pola widzenia.

Potem przez okno dosłyszał rozmowę:

– To była świetna zabawa – powiedział stojący na ulicy Fang.
– O tak, uwielbiam, jak się wiją i wydzierają – dodał z rozrzewnieniem drugi. – Chciałbym w dzisiejszych czasach widzieć tego więcej. Stacjonuję w tym mieście od wielu dni i nie mam nic do roboty poza dłubaniem sobie w łuskach.

– Już niedługo będziemy mieli zajęcie – odrzekł pierwszy.
– Taaa? Wiesz coś, czego ja nie wiem?
– Graniobieżca twierdzi, że rodzina Igibych ukrywa się w lesie.
– Niemożliwe.
– Dlaczego?
– Ponieważ krowy już dawno by ich pożarły.
– Nie. Są z tym skarpetowcem. Tym wrednym. On się nie boi zębatach krów. Graniobieżca mówi, że ma mosty między drzewami i że mieszkają w domku na drzewie.

Oskar otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się mimo bólu. Igiby żyli!

– Mieszkają w czym? – spytał Fang.
– W domku na drzewie.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Co to jest domek na drzewie?
– Nie wiem. Chociaż brzmi znajomo. Coś w tej nazwie sprawiło, że poczułem dziwne mdłości.

– Cóż, przekonamy się jutro. Dziś wieczorem przyjeżdża reszta żołnierzy; potem idziemy do lasu ich szukać. Wyjeżdżamy jutro po śniadaniu – weźmiemy ich z zaskoczenia.

– Nie – szepnął Oskar.

Nagle jego siła zgasła jak zdmuchnięta świeca i osunął się na podłogę pokoju numer osiem, nieświadomy, że na podłodze pod nim zebrała się mała kałuża krwi.

Odpowiedni cytat z Ubiniusa Łunego

Następnego ranka po śniadaniu Peet Skarpeciarz wrócił do domku na drzewie, niosąc na ramieniu wypatroszonego i obdartego ze skóry szczurogona jaskiniowego. Wspomniał od niechcienia, że tuż za nim może przybiec sfora rogatych psów, więc Podo natychmiast obudził Nuggeta, by był w pogotowiu. Kiedy Peet wdrapał się przez właz wraz z upolowanym szczurogonem, w powietrzu rozległo się wycie rogatego psa i Nugget pognął za tym dźwiękiem do lasu.

Janner i Tink siedzieli po turecku na podłodze drzewnego domku i starali się ze wszystkich sił skupić na swoich TWP, chociaż ich umysły wirowały od ekscytacji przed podróżą.

Tink na prośbę matki zajął się szkicowaniem z pamięci chaty Igi-bych. Powiedziała, że mogą już nigdy nie wrócić do Glipwood i czy to nie miłe, że Tink ma szkicownik ojca do przeglądania i może zobaczyć fragmenty przeszłości swojej rodziny? Tink w wieku jedenastu lat nie był w stanie wyobrazić sobie przekazywania swego szkicownika komukolwiek, nie mówiąc już o własnych dzieciach. Lubił jednak rysować i Janner wiedział, że zaczyna dostrzegać wartość archiwizowania swoich dzieł i opowiadania swojej historii za pomocą własnoręcznie wykonanych ilustracji.

Janner skupił się na swoim dzienniku i próbował opisać intensywne oczekiwanie, które odczuwał w związku ze zbliżającą się podróżą do Lodowych Prerii, oraz frustrację wywołaną czekaniem, aż przygotowania

dobiegną końca. Leeli siedziała w zagłębieniu grubego konaru drzewa i uczyła się na pamięć tekstów z książki z piosenkami.

Janner usłyszał szczekanie Nuggeta i wyrzwał przez okno. Zobaczył, jak ich pies wraca z głębi lasu, niosąc w pysku bezwładne cielsko rogatego psa. Nugget był tak delikatny w stosunku do dzieci, że trudno było sobie wyobrazić, żeby mógł cokolwiek zaatakować, ale ten gigantyczny pies był w stanie zabić coś większego od rogatych psów. On i Peet stanęli w obliczu ataku setek Fangów z Dang i przeżyli, i Janner nie dostrzegł u nich ani jednej rany.

U stóp drzewa Peet ciężko pracował, kopiąc dół, by zakopać w nim skrzynię pełną swoich dzienników. Było ich zbyt wiele, by zabierać je ze sobą, a nie chciał, by wpadły w łapy Fangów. Krzyknął, kiedy Nugget upuścił martwego rogatego psa na kupkę piasku obok dołu, i ofuknął go.

– Rogate psy kiepsko smakują! Gulasz wychodzi nieudany i książki przechodzą brzydkim zapachem.

Nugget zaskamlał i zawlókł psa z powrotem między drzewa.

Gdy Janner zanurzył pióro w butelce z atramentem i ponownie zabrał się do pisania w swoim dzienniku, z dołu dobiegł go głos Nii:

– Chłopcy, zejździe na dół. Musicie przymierzyć swoje plecaki.

Janner i Tink odrzucili książki na bok i zbiegli po drabinie.

Nia stanęła plecami do stosu skrawków i przyglądała się synom z założonymi rękami. Ostatnie kilka tygodni spędziła na starannym szyciu plecaków ze starych koców Peeta i zwierzęcych skór, złożonych w rogu w domku na drzewie, a teraz wręczyła chłopcom gotowe plecaki wyposażone w klapy, wiązania, guziki i przegródki.

Janner założył swój plecak. Wiedział, że będą potrzebowali jedzenia, ale nie wiedział, jakich innych zapasów wymaga długa podróż.

– Oto książka, którą dał ci twój ojciec – oznajmiła Nia, wkładając ją do plecaka Jannera. – Owinęłam ją, żeby była bezpieczna. A i to będzie

wam potrzebne. – Wręczyła mu miecz Tinka w pokrowcu i wskazała na skórzane pasy, którymi miał przywiązać go do plecaka brata.

Plecaki stawały się coraz cięższe, w miarę jak Nia pakowała do nich niezbędne przedmioty: pudełko zapalek, naoliwione pudełko na hubkę i krzesiwo na wypadek, gdyby zapalki się skończyły, worki z suszonym mięsem, sakiewki z solą, zwój liny, składany nóż, który zabrała ze zbrojowni na dworze Anklejelly, oraz dodatkową tunikę i parę spodni. Z boku plecaka, obok miecza, przywiązała Jannerowi łuk bez cięciwy i kołczan ze strzałami, a potem zrobiła to samo dla Tinka.

Cofnęła się i zmrużonymi oczami spojrzała na bagaże na plecach swoich synów.

– Plecaki są gotowe – uznała, kiwając głową. Potem przeniosła wzrok na synów i Janner jęknął. – Czego nie można powiedzieć o waszym wyglądzie. Chodźcie.

Nia poddała Jannera i Tinka bolesnemu szorowaniu. Janner poczuł się tak, jakby matka chciała zedrzeć mu skórę do kości. Potem zabrała się za ich włosy. Za pomocą jednego ze składanych noży, które umieściła w ich plecakach, Nia ścinała ich włosy, ciągnąc je i burcząc pod nosem, aż bujne pukle Jannera i Tinka opadły kępami u ich stóp.

Kiedy Nia uznała dzieło za ukończone, wyjęła lusterko i uniosła je. Janner spojrzał na siebie ze zdziwieniem. W ciągu tych kilku przerażających tygodni, odkąd po raz pierwszy uratowali Leeli przed Slarbem, sporo się wydarzyło. Teraz Janner zobaczył to na własne oczy: postawę powagi i dojrzałość, która – miał nadzieję – pewnego dnia przemieni się w mądrość. Podał lusterko Tinkowi, zastanawiając się, czy młodszy brat zauważy to samo u siebie.

Zamiast tego Tink natychmiast zrobił najgłupszą i najbrzydszą minę, na jaką mógł się zdobyć, i wybuchnął śmiechem. Leeli zachęcała go dalej, śmiejąc się w głos, i Tink wygłupiał się przez kolejne kilka minut, wymyślając durne miny i śmiejąc tak, że nie mógł oddychać. Choć

bardzo się starał, Janner nie mógł powstrzymać śmiechu z wyglupów brata i zauważył, że matka też się uśmiecha.

Popatrzcie – pomyślał Janner – oto Wielki Król Anniery. Stwórczo, miej nas w opiece.

Jego myśli przerwał dziwny odgłos w lesie.

Janner popatrzył między drzewami, zastanawiając się, czy to była tylko jego wyobraźnia. Po tygodniach spędzonych w lesie Glipwood nauczył się rozpoznawać pisk szczurogona jaskiniowego, rechot ropuchonora chropawego, złowrogie muczenie zębatej krowy i skowyt rogatego psa. Peet pokazał nawet Jannerowi i jego rodzeństwu różne ptaki, które śpiewały na gałęziach, i nauczył ich rozpoznawać, które są agresywne, które złośliwe, a które wyśpiewują żałobne treny na cześć innych ptaków, które zginęły przez pożarcie.

Ten dźwięk był jednak inny, niemal ludzki. Janner szybko dokonał przeglądu swojej rodziny, aby upewnić się, czy wszyscy są obecni, i z rosnącym niepokojem stwierdził, że wszyscy stoją obok niego.

– Ćśś! – Janner zacisnął dłoń na ustach Tinka. – Słyszałeś to?

– Mhm – wycharczał Tink.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, a w dodatku zaczęło mu towarzyszyć słabe *trzc-trzc* łamanych gałązek i deptanych stopami krzaków. Podo i Nia też to usłyszeli. Wszyscy stanęli z odwróconymi głowami i nasłuchiwali. Nugget popiskiwał i dreptał w tę i z powrotem, aż Leeli go uciszyła.

Wreszcie głos, odbijający się echem między konarami, zbliżył się na tyle, że można było dosłyszeć wyraźne słowa:

– CYTUJĄC SŁOWA UBINIUSA ŁUNEGO, „UCIEKAJCIE, IGIBY! JEŚLI TAM JESTEŚCIE, UCIEKAJCIE! IDĄ PO WAS!”.

Zdrajca wśród drzew

Oskar Noss Reteep podskakiwał i trząsł się na grzbiecie oszołomionego osiołka jak galareta podczas trzęsienia ziemi. Trzymał wodze wysoko w powietrzu i już dawno stracił nadzieję na wcelowanie stopami w strzemiona. Okulary zwisały mu z jednego ucha, a obfite pasmo białych włosów odkleiło się od miejsca, w którym przyklepał je do głowy, i powiewało za nim niczym flaga oznaczająca kapitulację.

Janner niemal oszalał z radości, gdy rozpoznał swojego dawnego pracodawcę. Gdy ostatnim razem widział Oskara, umierający staruszek leżał na podłodze Książek i Zakamarków i namawiał go do ucieczki. Tej ostatniej, okropnej nocy w Glipwood, po koszarnej bitwie z Fangami, zdradzie Zouzaba i ucieczce rodziny Igibych do dworu Anklejelly, Janner uznał, że księgarz nie żyje. Na widok żywego Oskara doznał szoku, który jednak szybko przerodził się w radość. Uśmiechnął się, gdy Reteep przygalopował w jego kierunku z takim dudnieniem, że siedzące na drzewach stada szarpaczy zaczęły krakać i odfrunęły z łopotem skrzydeł.

– Janner! – Głos Poda przedarł się przez myśli w głowie Jannera. – Chłopcze!

Janner otrząsnął się z oszołomienia i zorientował się, że ze wszystkich Igibych tylko on stoi nieruchomo. Zachłysnął się z wrażenia, gdy w końcu zrozumiał, co Oskar wykrzykuje.

– UCIEKAJCIE, IGIBY! MÓWIĄC SŁOWAMI...

Zanim skończył, jego biedny osioł – czy to ze zmęczenia, czy też dlatego, że nie mógł dłużej znieść poniżenia, że ma takiego trzęsącego jeźdźcę – upadł. Oskarowi niemal oczy wyszły z orbit, gdy przeleciał w powietrzu na polanę, na której stał Janner. Szybował z zaskakującą gracją, z rozwianymi włosami i dyndającymi okularami; usta ułożył w idealne O, a wodze, które wciąż mocno ścisnął, napięły się i wywróciły okrągłego mężczyznę w powietrzu tak, że wylądował na plecach u stóp Jannera.

Osioł zaryczał.

Oskar leżał na ziemi i mrugał, wielce zaskoczony, że nie umarł.

– Janner! Mój chłopcze, tak się cieszę, że cię widzę. Przyjechałem tak szybko, jak mogłem. – Oskar skrzywił się i trzymał rękę na boku, gdy Janner pomagał mu wstać. Brzuch staruszka był owinięty zakrwawionymi bandażami.

– Nie wiem, jak pan przeżył, panie Reteep, ale cieszę się z tego – powiedział Janner.

Podo zszedł po drabinie z zamku Peeta z zawiniątkiem na plecach, podczas gdy Nia i Leeli zbierały zapasy żywności i wrzucały je do różnych plecaków. Tink upuszczał po kolei z okna domku oprawione w skórę dzienniki Peeta; ten łapał je i układał na prostokątnej, grubej tkaninie, rozłożonej na ziemi.

– To wszystko, wujku Peet! – zawołał Tink.

Peet skinął głową, zawinął książki w płótno i włożył je do wykopanego przez siebie dołu.

– Oskar! Ile mamy czasu? – krzyknął Podo.

– Ojej – odparł i otrząpał się Oskar. – Nie więcej niż kilka minut. Próbowałem się wymknąć, ale mnie zauważyli, a są ich setki. Setki!

Z głębi lasu nadbiegł nowy dźwięk. Okropny dźwięk, jakiego Janner nigdy nie słyszał. Po części wycie, po części warczenie; było jasne, że pochodzi od czegoś wielkiego. Nawet Nugget zaskamlał.

Doskoczył do Leeli i przycisnął do niej swoje wielkie futrzane cielsko i Janner nie był pewien, czy po to, by ją chronić, czy żeby samemu być chronionym.

– I jeszcze jedno – zaczął ze śmiertelną powagą Oskar.

– Hę? – Podo przerzucił przez ramię plecak z zapasami. – Co takiego?

– Trolle. – Oskar wzdrygnął się i zmarszczył nos.

Trolle? – Jannera przeszedł dreszcz strachu. Nigdy nie widział trolla, chociaż *Kreaturopedia* Pembricka opisywała kilka ras trolli, wszystkie groźne i upiorne.

Serce zaczęło mu walić na widok zmartwienia, jakie pojawiło się na twarzy Nii. Zachowywała spokój w najgorszych okolicznościach i lodowaty chłód nawet wtedy, gdy wokół robiło się gorąco. Kiedy jednak wycio-jęki trolla zabrzmiały ponownie, bliżej niż poprzednio, jej twarz zmarszczyła się tak, że przez chwilę wyglądała na starą i zmęczoną.

Podo spojrzał uważnie na Oskara, po czym skinął głową.

– Cóż, niezależnie, czy nadciągają tu trolle, Fangowie, czy moja prababcia Olaraye, zwiewamy stąd, ale już. Janner, przyprowadź tu tego osła i przywiąż mu do siodła, co się da. Tink!

– Tak, sir – powiedział Tink zza Poda.

– Pomóż siostrze z jej pakunkami, a potem przygotuj łuk i strzały. Pojedziesz z nią na Nuggecie i będziesz strzelał we wszystko, w co dasz radę trafić. Celuj porządnie, rozumiesz? Strzały są cenne.

– Owszem – odezwał się papierowy głos tuż nad nimi. – Strzały są cenne. Ale obawiam się, że na nic się Igibym nie przydadzą.

Zouzab Koit przysiadł wysoko wśród gałęzi i spoglądał na nich z twarzą pozbawioną wyrazu. Oskar prychnął i ogarnęła go taka wściekłość, że nawet nie przyszedł mu do głowy żaden cytat.

– Ty! – wrzasnął Podo. Twarz mu poczerwieniała i już miał wybuchnąć potokiem przekleństw.

Zanim jednak zdążył powiedzieć choćby słowo, Peet Skarpeciarz zawył i podskoczył niewiarygodnie wysoko na konar, na którym siedział Zouzab. Ten odskoczył i uciekł przed Peetem, dmuchając jednocześnie w swój piskliwy gwizdek. Skarpeciarz i graniobieżca zniknęli z pola widzenia w płataninie gałęzi i spadających liści, pozostawiając Poda i Oskara drżących i oniemiałych. Ich gniew został przerwany przez kolejne wołanie trolla, a potem dźwięk gwizdka, niedaleko od nich.

– Nie ma czasu! Ruszamy! – zawołał Podo.

Podczas gdy Janner stawiał zmęczonego osła na nogi, Nia zepchnęła stertę piachu do dołu, w którym Peet ukrył swoje cenne dzienniki. Dla niepoznaki rozrzuciła po świeżo rozkopanym piachu warstwę liści.

– Tato, dokąd pojedziemy? – zawołała Nia, gdy Podo wbiegał po drabinie do domku na drzewie.

– Nie wiem, dziewczeczko! Sądzę, że na północ – odrzekł przez ramię. – Nie możemy teraz ruszyć na południe, tak jak planowaliśmy.

– Ale... ale na północy jest tylko rzeka. Będziemy w pułapce!

– Ach! – rzekł Oskar. – Jest most. Droga na drugą stronę... – Zgiął się wpół i zakaszłał. Janner rzucił się, by go podtrzymać.

Podo zszedł po drabinie w mgnieniu oka, niosąc naręcz suszonego mięsa, które wrzucił do plecaka.

– Będziemy głupi, jeśli zostaniemy tu choćby chwilę dłużej. Pośpieszmy się!

– Trzymaj. – Nia rzuciła Jannerowi skórzaną torbę Peeta. – Przywiąż to do osła, a potem weź swoje rzeczy. Ruszaj!

– Mamo, pan Reteep jest ranny – zauważył Janner. – Gdzie jest woda z Pierwszej Studni?

– Nie wiem, synu, Artham ją miał. Będziemy musieli dać Oskarowi trochę, kiedy oddalimy się wystarczająco od Fangów. – Zwróciła się do Oskara: – Dasz radę? Potrafisz jeździć konno?

Zasapany Oskar skinął głową.

Miecz Jannera, przywiązany z boku plecaka, uderzył o jego biodro przy zarzucaniu na ramiona i przypomniał, jak ciężkie, realne i niebezpieczne są miecze – i sytuacje, które wymagają ich użycia. Wycie i warczenie trolli stawało się coraz głośniejsze i Janner usłyszał stłumiony tupot maszerujących stóp.

Leeli usiadła okrakiem na Nuggecie i złapała za kępy czarnego futra, które zebrały się po bokach wielkiej głowy psa. Swoją najnowszą kulę zawiesiła na sznurku i przerzuciła przez ramię. Tink usiadł tuż za siostrą z przygotowanym łukiem. Nia ujęła zmęczonego osła za wodze i kojąco przeciągnęła mu dłońią po szczęce. Kiedy Oskar usiłował dosiąść osła, ten obrzucił go wyniosłym spojrzeniem i zaryczał.

– No dobrze, chłopcy i dziewczęta! – krzyknął Podo. – Ruszamy w szybkim tempie, słyszycie?

– Ale, dziadku, co z wujkiem Peetem? – zapytała Leeli.

Podo zniżył głos i odrzekł, nie patrząc wnuczce w oczy:

– Nie czekamy na niego. Nie ma czasu. Dogoni nas.

– Ale...

– *Za nimi!* – rozległo się z daleka charakterystyczne warczenie Fanga z Dang.

Janner dostrzegł zieloną łuskowatą paszczę daleko pośród drzew, potem kolejną i kolejną. Podo chwycił Nuggeta za obrożę i ruszył z nim biegiem w głąb lasu Glipwood.

U szczytu wąwozu

Biegli przez las. Za ich plecami, niczym ścigająca ich między drzewami niewidzialna burza, rozbrzmiewały jęki, wycie i tupot armii Fangów. Osioł nie potrzebował żadnego spinania ze strony Jannera, żeby przyspieszyć tempo. Peeta nigdzie nie było widać, ale jego pisk od czasu do czasu przebijał się przez złowrogie dźwięki za nimi.

Podo prowadził na przedzie i nawet utykając na swojej protezie, musiał zwalniać, aby pozostali mogli za nim nadążyć. Janner i matka biegli z osłem o rozszalałych oczach między nimi, a Oskar sapał i prychał z tyłu.

Gdy tak biegli, Janner obejrzał się przez ramię i zobaczył szeregi Fangów, wyłaniające się co rusz spomiędzy drzew, a pośród nich trzy ogromne, tęgie trolle, które łamały grube konary jak gałązki. Janner poczuł zarazem przerażenie i fascynację i żałował, że nie może zatrzymać pościgu, by lepiej się przyjrzeć jednemu z tych cuchnących olbrzymów.

– Janner, uważaj, jak idziesz – rzekła Nia w samą porę. Janner zatrzymał się gwałtownie i niemal zatańczył wokół małego drzewa. Przed nimi Nugget truchtał obok Poda, ostrożnie wybierając ścieżkę tak, by chronić Leeli przed niskimi gałęziami. Przy każdym ryku trolla Nugget kładł uszy po sobie i skamlał.

– Ćśś, piesku – szeptała Leeli do ucha psa, pochylając się do przodu. Tink siedział za Leeli z gotowym łukiem.

– Tink, widzisz ich? – wysapał Janner.



– Tak, widzę – odrzekł Tink, starając się ukryć zmartwienie w głosie. – Zbliżają się. Dziadku, zbliżają się!

– Tak, słyszę ich, chłopcze – odparł Podo. – Po prostu trzymaj tę strzałę na cięciwie.

Janner starał się nie oglądać za siebie, ale nie mógł się powstrzymać. Ujrzał jeszcze więcej Fangów i trolli, na tyle blisko, że mógł dostrzec okrutne zadowolenie na ich twarzach. Mógł ich też poczuć. Ostry, gorzki smród zanieczyścił powietrze i przyniósł ze sobą wspomnienia Slarba, Gnorma i Czarnego Powozu oraz zimnych, wilgotnych ciał Fangów. Wraz ze wspomnieniami przyszedł głęboki i obezwładniający strach. Odkąd Oskar wdarł się na polanę, Janner czuł napięcie i pośpiech – a teraz, gdy przypomniał sobie jeszcze żelazny uchwyt jaszczurzych pazurów i krople jadu z ich zębów, naprawdę się bał.

– Oskar! – zawołała Nia.

Janner zobaczył, że staruszek zachwiał się jak stos naczyń, który zaraz się przewróci. Kiedy Oskar wyciągnął rękę, żeby się oprzeć o najbliższe drzewo, Janner z niepokojem spostrzegł, że jego dłoń jest zalana krwią. Kolana Oskara się ugięły i upadł na ziemię.

Podo podbiegł do swojego przyjaciela i podniósł go.

– Janner, zrób miejsce! – rozkazał Podo. Janner zdjął pościel i zapasy z grzbietu osła i z pomocą Poda zarzucił Oskara na grzbiet biednego zwierzęcia. Staruszek położył się na brzuchu i opadł na siodło jak świeżo zabita zwierzyna. Powieki mu opadły, a twarz stała się blada i lepka.

– Tink! – wrzasnęła Leeli, a Janner zobaczył kolejny powód do strachu. Spośród szeregów szarżujących Fangów wyskoczył rogaty pies i rzucił się w ich stronę. Miał na szyi obrożę, a jego pysk i ciało pomalowano czarną wojenną farbą.

Tink zamarł na grzbiecie Nuggeta.

– STRZELAJ! – ryknął Podo.

Tink zamrugał dwa razy i się ocknął. Napiął łuk, wypuścił strzałę i pies upadł w stertę liści.

Podo nie musiał wydawać rozkazu, by biegli jak szaleni. Nugget wyrwał się do przodu tak gwałtownie, że Tink omal nie spadł mu z pleców. Nia biegła obok ryczącego osła i podtrzymywała Oskara, który jęczał i podskakiwał.

Droga była ciężka. Las na północ od domku Peeta wznosił się i opadał na stromych wzgórzach. Od czasu do czasu musieli omijać zdradzieckie wąwozy i wyschłe koryta rzek, zawałone połamanymi drzewami.

Ze szczytu długiego zbocza Janner zobaczył, że Fangowie są zaledwie o jeden strzał z łuku od nich i dwa kolejne rogate psy biegną w ich kierunku. Tink wypuścił następną strzałę i chybił. Kiedy pospiesznie wyciągał z kołczanu kolejną, Peet zeskoczył z drzewa z obnażonymi szponami, zabił psy i ponownie zniknął pośród liści.

Janner wiedział, że Peet nie da rady tylu Fangom, ale jego nagłe pojawienie się było jak chłodna bryza w upalny dzień. Strażnik Tronu Anniery zajmował miejsce między rodziną Igibych a ich wrogami.

Pojawienie się Peeta miało zaskakujący wpływ również na Fangów. Janner nie widział zbyt wiele, ale wyczuł, że dystans między nimi a Fangami się zwiększa. Chociaż były ich setki, Fangowie ociągali się w marszu i nieufnie spoglądali na gałęzie.

Nagle Janner poślizgnął się na stromym zboczu. Podo wprowadził Nuggeta do głębokiego wąwozu i był już w połowie zbocza, pośród starych gałęzi, suchych liści i gnijących pni drzew. Wielki rów rozciągał się na boki w obu kierunkach, więc nie mieli innego wyjścia, jak tylko go przekroczyć.

Osiół zatrzymał się gwałtownie u szczytu zbocza. Janner szarpał go za wodze, Nia pchała od tyłu, ale zwierzę za nic nie chciało się ruszyć. Utkwiło wzrok na dnie wąwozu, a jego nozdrza rozszerzały się i kurczyły jak bijące serce.

Gdyby Janner nie uciekał w obawie o swoje życie, to przypomniałby sobie, co *Kreaturopedia* Pembricka mówiła o takich wąwozach w lesie Glipwood; ostrzegłby swoją rodzinę przed schodzeniem na sam dół zavalonego drzewami jaru. Gdyby Janner nie myślał tylko o Fangach i trollach warczących w lesie za nim, stanowczo zasugerowałby, aby rodzina Igibych obeszła wąwóz dookoła, nawet gdyby wydłużyło to podróż o całe godziny i kilometry.

Gdyby Peet Skarpeciarz, tak obeznany z niebezpieczeństwami lasu, był z nimi, zamiast walczyć z Fangami, trollami i rogatymi psami, to z całą stanowczością ostrzegłby Igibych, aby *nie* schodzili na dno wąwozu⁸.

Oni jednak zeszli.

8 Z *Kreaturopedii* Pembricka: „Za wszelką cenę należy unikać wąwozów i dolów w lesie Glipwood. Powszechnie wiadomo, że w takich miejscach pułapki zastawia skałaluch olbrzymi. Czyhający pod liśćmi i konarami zwalonymi na dnie wąwozu, stanowi jedno z wielu niebezpieczeństw dla nieświadomego miłośnika wąwozów. Słodki zapach wydzielany przez samicę skałalucha olbrzymiego wprawia niektóre zwierzęta w temperboliczny trans i przyciąga je nieodparcie do czekającego drapieżnika. Często można spotkać w wąwozie liczne śmiercionośne stworzenia, schwytane w pułapkę, które tkwią tam, dopóki samica skałalucha nie powróci z podziemnej kryjówki, gdzie pielęgnuje swoje młode”.

Potwory w ukryciu

Nugget, z Leeli i Tinkiem na grzbiecie, stanął na dnie wąwozu i oparł jedną ze swoich ogromnych łap o stary, zbutwiały pień. Nia zsunęła się po stoku, by do nich dołączyć, a Podo i Janner zatrzymali się w połowie wysokości zbocza i szarpali osła za wodze. Janner stanął za zwierzęciem i pchnął je z całej siły, ale nic to nie dało. Sparalizowany strachem osioł tylko ryczał i kręcił uparcie głową. Nie miał zamiaru iść dalej.

– NO DALEJ, TY UPARTY, STARY TRAWOŻUJU! – darł się Podo.

– Chcemy, abys podszedł trochę bliżej – zawołała słodkim głosem Leeli z drugiej strony wąwozu. – O właśnie tak. No chodź!

Osiół nastawił uszy w kierunku głosu Leeli, przestał ryczeć i zrobił jeden chwiejny krok do przodu. Podo spojrział na wnuczkę z uniesionymi brwiami, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Janner zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie do tyłu, po czym zsunął się po zboczu na dno wąwozu.

Peet Skarpeciarz zeskoczył z drzewa i stanął przed szeregiem czujnych Fangów, wyprostowany, z rękami założonymi na piersiach, wysuniętym podbródkiem i zamkniętymi oczami. Przypomniał Jannerowi burmistrza Blaggusa z czasów, gdy dyrygował orkiestrą miejską w Glipwood.

Wtedy zza linii frontu Fangów wyłonił się troll. Janner po raz pierwszy w życiu zobaczył wyraźnie jedno z tych stworzeń i zrozumiał, dlaczego Nia i Podo tak bardzo się zmartwili, kiedy Oskar o nich

wspomniał. Troll miał krótkie i grube nogi, ale i tak był dwa razy wyższy od człowieka. Miał tułów i barki obficie umięśnione i pokryte żyłami, a spomiędzy ramion wystawała mu mała głowa z pękiem siwych włosów na czubku. Oczy trolla były ukryte w zagłębieniu kościstego czoła, a równie koścista szczeka wyglądała na wystarczająco silną, by wyważyć zamkową bramę.

Troll trzymał w ręku nabitą żelaznymi kolcami maczugę wielkości taczki. Przez chwilę machał nią nad głową, po czym warknął na Peeta (tak jakoś jękliwie) i grzmotnął nią o ziemię. Ta się zatrzęsła, a ze zbocza, na którym stał Janner, osunęły się kamyki. Osioł stracił wszelką odwagę, którą wzbudziła w nim Leeli, i ruszył wstecz.

– Dziadku! – zawołał Janner. – Musimy go zostawić!

Weszli z powrotem na górę wąwozu, pomogli Oskarowi zsunąć się z grzbietu osła i wzięli go pod ramiona.

Troll ponownie łupnął maczugą o ziemię.

Peet wciąż się nie poruszał. Stał rozdrażniony i nieruchomy, kupując tym sposobem cenny czas Igibym, podobnie jak podczas ich ucieczki do dworu Anklejelly. Kiedy Janner i Podo dołączyli na dnie wąwozu do pozostałych, Janner po raz ostatni spojrzął na przerażonego osła. Było mu go żal i zastanawiał się, czy Fangowie zaprzęgną go do pracy, czy raczej zjedzą.

Wtem dostrzegł, że z siodła na grzbiecie osła zwisa torba Peeta.

Janner wyrwał się spod ramienia Oskara i z powrotem pobiegł do góry po zboczu. Trolle i Fangowie zbliżali się krok za krokiem do Peeta, który teraz skakał w kółko i gwizdał pod nosem. Ten mężczyzna był równie odważny, co szalony, i jaszczury nie wiedziały, co o tym myśleć. Janner próbował odpiąć paski, za które przypięta była torba Peeta, lecz nie dał rady, więc rozerwał ją i zaczął w niej szperać, by zabrać, co się da. Natknął się na kilka dzienników przewiązanych sznurkiem, młotek, jeden stary but, żywą mysz i skórzany flakonik – wodę z Pierwszej Studni.

Zachłysnął się z zaskoczenia. Włożył flakon do bocznej kieszeni i zeskoczył z powrotem na dno wąwozu.

Coś jednak było nie tak.

Nugget do tej pory powinien był już przejść na drugą stronę, ale zamiast tego stał nieruchomo na dnie wąwozu. Leeli błagała go, aby ocknął się z transu. Tink zsiadł z grzbietu, stanął przed Nuggetem, ujął wielkiego psa za pysk i wołał do niego po imieniu.



Nugget odpowiadał tylko leniwym skamleniem.

Nagle Tink wrzasnął i zaczął walczyć z czymś u swoich stóp. Janner rzucił się poprzez zwalone drzewa do brata, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Kiedy ujrzał źródło strachu Tinka, również zaczął krzyczeć.

Spomiędzy dwóch zwalonych drzew na dnie jaru – które wcale nie było dnem, jak dopiero teraz zauważył Janner – wyłoniła się głowa o mlecznych oczach. Miała wilgotny i szeroki nos, długi pysk podobny do końskiego, ale grubszy, a z paszczy pełnej krzywych, ostrych zębów wystawały jej dwa żółte kły – w jamie skałalucha olbrzymiego tkwiła uwieczona zębata krowa. To, co wzięli za dno wąwozu, bardziej przypominało gigantyczną masę krzaków, pustą od spodu.

W paszczy krowy utkwiała lewa stopa Tinka, stopa, która jak nic pozostałaby oderwana od ciała i wchłonięta przez układ pokarmowy zwierza,



gdyby krowa nie była otumaniona przez woń wydzielaną przez skałalucha. Ociekające żółtym płynem oczy krowy obracały się sennie, gdy wciągała stopę Tinka coraz głębiej do paszczy. Janner szarpnął nogę brata, ale mniejsze zęby krowy były zagięte do wewnątrz⁹. Gdyby zwierzę było w pełni przytomne, to zdaniem Jannera Tink stałby się kolejnym członkiem rodziny z tylko jedną sprawną nogą.

Podo doskoczył z wyciągniętym mieczem i zamachnął się na potwora, ale głowa krowy była tylko częściowo widoczna między gałęziami i nie mógł zdziałać zbyt wiele, by uwolnić stopę Tinka.

Ta szamotanina wyrwała Nuggeta z transu. Wielki pies zaszczeakał i naprężył się, reagując na całą sytuację tak, jakby właśnie obudził się ze snu. Kiedy zobaczył krowę, skoczył w kierunku ziemnej jamy, przez co Leeli omal nie spadła mu z grzbietu. Gdy opadł na ziemię, płatanina gałęzi, na których stali, przesunęła się i odsłoniła głowę zębatej krowy.

Bracia i dziadek popatrzyli na siebie przez dłuższą chwilę i zorientowali się, że zaraz spadną – i tak się stało.

Nugget upadł z łomotem na ziemię. Leeli wylądowała w miękkim futrze na jego boku, a Janner, Tink i Podo zrobili salto w powietrzu i wylądowali z głuchym łupnięciem w liściastym legowisku w jaskini skałalucha olbrzymiego.

Janner był oszołomiony, ale zdołał dostrzec, że podczas upadku stopa Tinka wysunęła się z krowiego pyska. Potem zobaczył przerażenie na twarzy Poda. Stary pirat spoglądał ponad Jannerem na coś, co sprawiło, że stanął jak sparaliżowany.

W jaskini roilo się od dzikich zwierząt.

9 Aby schwytana zdobycz nie mogła uciec. To tylko jedna z wielu śmiercionośnych cech skreańskiej zębatej krowy. Patrz: ilustracja w części I, „Nad brzegiem Morza Ciemności”, strona 340.

Cierń pogardy

W jaskini przykrytej stropem z krzaków znajdowały się cztery zębate krowy, syczące i truchtające stadko szczurogonów jaskiniowych, ranny rogaty pies, który stał tylko na trzech nogach, i chwiejny kolcernik z nastroszonymi kolcami. Po ziemi wały się sterty zwierzęcych kości, a w Igibych wpatrywały się czaszki wszelkiego rodzaju leśnych stworzeń.

– Nie ruszajcie się, chłopcy – szepnął Podo. Zębata krowa, która schwytała stopę Tinka, stała oparta o ścianę jaskini i dyszała ciężko, a z jej gardła dobywał się chorobliwy gulgot. Zwierzęta były ospałe, ale Janner widział, że mimo oszołomienia wywołanego wonią skałalucha bestie były głodne i agresywne.

– Obudź się, Nugget! – Leeli ujęła łapę psa w dłoń i potrząsnęła nią. – Nugget, błagam!

Nugget leżał tam, gdzie upadł, jak sterta czarnego futra. Dyszał, a oczy mu się zaskliły, jakby leniuchował przy ognisku i miał zaraz szczęśliwie zasnąć. W jaskini trująca woń skałalucha działała silniej. Leeli doskoczyła do głowy Nuggeta, nie zważając na dzikie zwierzęta tuż obok, i ponownie zawołała go po imieniu.

Tink usiadł na ziemi i zebrało mu się na wymioty, gdy ujrzał krowią ślinę na swojej stopie. But i dół nogawki były mokre, ociekające i tak cuchnęły, że zebrał się wokół nich rój bzyczących much.

Nia zawołała do nich z góry przez otwór w stropie jaskini:

– Chłopcy! Leeli! Nic wam się nie stało?



– Nic, dziewczeczko, wszystko w porządku! – zawołał w odpowiedzi Podo, nie odrywając wzroku od stada zwierząt. Zniżył głos. – Chłopcy, wyciągnijcie miecze, tylko zróbcie to powoli.

Janner podniósł się ostrożnie i pociągnął Tinka do góry za pasek od plecaka.

– Błueeee – jęknął z obrzydzeniem Tink, słysząc *plaśnięcie*, jakie zabrzmiało, gdy stanął całym ciężarem na swojej przemoczonej stopie.

Czy on naprawdę bardziej przejmuje się swoją mokrą stopą niż naszą sytuacją? – pomyślał Janner z ukłuciem gniewu.

Gdy Janner wyciągnął miecz, Tink przemógł obrzydzenie, dobył własnego ostrza i obydwaj chłopcy stanęli obok siebie, tuż za Podem. Rogaty pies potrząsnął łbem, a w jego oczach pojawił się przeblask energii. Wyglądał, jakby szykował się do ataku i był wystarczająco otrzeźwiał, by rozpętać walkę, zanim skałaluch pozbawi go życia. Zębate krowy muczały i potrząsały potężnymi bokami, by ocknąć się z odrętwienia.

Rogaty pies warknął. Rozciągnął szeroko wargi, a po jednym z klów spłynęła mu strużka śliny. Zrobił chwiejny krok do przodu i przypadkowo postawił łapę przed otumanionym kolcernikiem. Ten syknął i wygiął plecy w łuk. Trzy kolce długości przedramienia wyskoczyły mu z grzbietu i utkwili w szyi rogatego psa¹⁰.

Pies rzucił się na kolcernika. Szczurogony jaskiniowe zaczęły piszczeć i się miotać, a krowy – muczeć, aż w końcu Nugget oprzytomniał. Ziewnął i podrapał się za uchem jedną ze swoich ogromnych tylnych łap.

– Nugget, obudź się! – wołała Leeli i pies się obudził, ale tylko na tyle, by wstać, ziewnąć i się przeciągnąć. Krowy i szczurogony krążyły wokół siebie nawzajem, wpadały na ściany i ścigały z góry deszcz liści i gałązek.

10 Kolce kolcernika zawierają niewiele trucizny. Służą głównie do obrony, chociaż wiadomo, że kolcerniki atakują także w stadach, gdy chcą powalić większe zwierzę. Kolcerniki mają też, oczywiście, bardzo ostre zęby.

– Nie możemy stąd wyjść i zostawić Nuggeta na śmierć – oznajmił Podo. – On za nic nie da rady wspiąć się przez otwór, który wyłamaliśmy w stropie z gałęzi. Widzicie to przejście? – Podo wskazał mieczem na plamę światła po drugiej stronie wąwozu, za zwierzętami. – Tam, gdzie ziemia się podnosi? Kiedy wam każę, idźcie tam i wyrąbajcie otwór w stropie na tyle duży, by Nugget mógł przez niego przejść!

Janner dostrzegł plamkę światła, wpadającą przez strop, lecz drogę do niej zagrażały mu zwierzęta. Zanim zdążył przemyśleć plan Poda, dziadek krzyknął i rzucił się do walki, wymachując mieczem.

– Teraz! – ryknął Podo.

Stary pirat zamachnął się mieczem i odepchnął na bok krowy, psa, kolcerniki i szczurowony. Zwierzęta, kłapiąc zębami, zwróciły się jednocześnie przeciwko piratowi i spojrzały na niego zaropiałymi oczami.

– Tink! – wrzasnął Janner. – Posadź Leeli na Nuggeta, *natychmiast!*

– Co takiego?

– Natychmiast!

Tink skrzywił się, ale usłuchał i wrzucił swoją siostrę na grzbiet Nuggeta. Janner pociągnął psa do przodu, w chaotyczną szamotaninę, w której Podo walczył z dzikimi zwierzętami.

– Tink, nie stój tak! – krzyknął Janner. – Słyszałeś, co powiedział dziadek! Wycinaj otwór w stropie! Jeżeli jesteś królem, to *zachowuj się jak król!*

Tink zamarł. Spojrzał na Jannera, jakby ten właśnie go spoliczkował, po czym pognał przez tumult tak szybko, jak tylko Tink potrafi gnać. Wspiął się po dalekim zboczach wąwozu i zaczął siekać mieczem zakrywający go strop z gałęzi.

Wahanie Tinka nie trwało długo – pół uderzenia serca – ale w tej krótkiej chwili w duszy Jannera wybuchnęło mnóstwo gorzkich myśli i wszystkie skierowały się ku bratu niczym strzały. *Patrzcie* – pomyślał ponownie, tym razem bez cienia humoru – *przed nami Wielki Król Anniery.*

Gdy tylko Janner pospiesznie przeprowadził Nuggeta, Leeli i Poda obok zębatach krów, przez otwór w stropie wlało się światło. Tink się przedarł. Schował miecz i odgarnął gałęzie na boki.

Janner stanął za psem i popchnął go, próbując nie myśleć o odgłosach walki Poda tuż za plecami. Leeli pochyliła się do przodu i zamknęła oczy, a Nugget przedarł się przez otwór i wyskoczył po drugiej stronie wąwozu.

Janner klepnął Tinka po plecach.

– Idź!

Tink wspiał się przez wyrwę. *Tym razem bez wahania* – pomyślał Janner. Odwrócił się i krzyknął:

– Dziadku, chodź! Jest wyjście!

W tym momencie Peet Skarpeciarz zeskoczył z krawędzi wąwozu z szaleńczą prędkością i z ramionami rozłożonymi szeroko jak skrzydła. Janner przyjrzał się mu z podziwem.

Jego skarpety już dawno opadły w strzępach, pocięte na kawałki przez szpony wyrastające z czerwonych przedramion. Białe włosy Peeta fruwały w powietrzu za nim; jedna brew spoczywała płasko i nisko, a druga wygięła się w łuk jak kłęb dymu; w oczach Peeta płonął tylko jeden cel: *Ochroniać. Ochroniać. Ochroniać.*

W tym momencie Jannera najbardziej uderzyło w wuju nie to, z jakim wdziękiem zeskoczył z drzewa, czy jego śmiercionośne, tajemnicze szpony, ale to, że pośród całego niebezpieczeństwa i paniki wzrok Arthama P. Wingfeathera był utkwiony w *nim* – i Janner dojrzał w jego wzroku potężne uczucie.

Tam, w wąwozie skałalucha olbrzymiego, wśród zębatach krów i nadciągających Fangów z Dang, Janner poczuł się bezpiecznie.

Ale tylko przez chwilę.

Podo wrzasnął. Gdy Peet przysiadł na splątanych gałęziach nad otworem, Janner obrócił się, przekonany, że zębate krowy jednak pokonały Poda. Krów jednak nie było.

A przynajmniej większości z nich.

Górna połowa jednej zębatej krowy zniknęła w paszczy... *czego?* Janner zobaczył, że jego niewzruszony dziadek trzęsie się i wycofuje na drżących nogach w kierunku otworu, w którym stał Janner.

Z ciemności na tyłach jaskini wyłonił się skałaluch olbrzymi.